Rok III. Nr. 1.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza drobnego (petit) po 8 centów, za każde następne 5 " należytość stęplową 30 " za każdorazowe umieszczenie.

AFISZ TEATRALNY.

Rok 1873.

Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego.
Cena prenumeraty miesięcznie 50 c.
Numer pojedynczy kosztuje 5 c.
Prenumeratę przyjmują: Administracya *Czasu*, przy ulicy Różannej Nr. 413 i Kasa Teatralna.

Nr. porządkowy 1.

TEATR KRAKOWSKI.

We czwartek dnia 2 Października.

Po raz pierwszy:

Komedya w 3 aktach napisana przez Zofię Mellerową, **odznaczona przez komisyę konkursową w r. 1873.**

ZYZIO

OSOBY:

Domecki, były przemysłowiec . . Pan Siennicki.
Domecka . . . . . . Pani Ekerowa.
Zygmunt } ich dzieci . . . . . Pan Benda.
Karolina } . . . . . Pani Siennicka.
Baron Szerszeń . . . . . . Pan Eker.
Jerzy . . . . Pan Wardzyński.
Emilia . . . . Pani Hoffman.
Bronisław . . . . Pan Dłużewski.
Hrabia Albin . . . . . . Pan Rawicz.
Wiewiórkiewicz . . . . . . Pan Szymański.
Damazy, służący Zygmunta . . Pan Zamojski.
Służący . . . . Pan Lajnerowicz.
Gość . . . . Pan Siedlecki.

Goście.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

Między 1 a 2 aktem upływa pół roku, między 2 a 3 parę dni.

Cena miejsc zwycz. Początek o godz. 7.

Kraków 2 Października.

Rozpoczynając trzeci rok istnienia pisma naszego, odwołać się tylko możemy do przeszłości. Powstaliśmy w głównym celu popierania i dopomagania teatrowi krakowskiemu i temu celowi nadal pozostaniemy wiernymi. Praca naszą z każdym rokiem staje się wdzięczniejszą i przyjemniejszą, gdyż rozwój i postępy instytucyi, z którą ściśle złączeni jesteśmy, ułatwia ją i upraszcza. Jak dotąd, tak i nadal będziemy nietylko organem teatru krakowskiego, ale także Dyrekcyi, gdyż w obecnym stanie rzeczy nie rozłączamy jednego od drugiej, a bodaj nigdy scena nasza nie doczekała się smutnych czasów, w którychby należało stawiać różnicę między teatrem a Dyrekcyą. Jesteśmy więc organem obecnej Dyrekcyi w tem znaczeniu, iż nietylko od niej odbieramy natchnienia i rady, ale, że także umieszczamy wszystko, co ona uważa być zgodnem z dobrem teatru; nie wszystko zaś, co umieszczamy i umieszczać będziemy, pochodziło i pochodzić będzie od Dyrekcyi, lub nawet znanem jej będzie przed ukazaniem się w szpaltach powierzonych naszej Redakcyi.

Aby odpowiedzieć naszemu zadaniu wspierania i dopomagania teatrowi krakowskiemu, jak dotąd, tak i nadal używać będziemy wszelkich godziwych środków.

Głupcy tylko mogą nam czynić zarzut z powodu, ze otwieramy nasze szpalty *reklamie* dla teatru krakowskiego. Głupcy tylko mogą nie pojmować, iż powstaliśmy po to, aby być dla teatru krakowskiego reklamą, i że im lepiej wywiązujemy się z tego zadania, tem większe należy się nam uznanie. Głupcy tylko i ludzie nieznający się na rzeczy, przypuszczać mogą, iżby, jakikolwiek w świecie teatr, mógł się obejść bez reklamy. Rzecz będąca na usługach szerszej publiczności, rzecz zależna od udziału publiczności, rzecz nieprzystępna dla niej bez objaśnień i zapowiedzi, z natury swojej wymaga ciągłych ogłoszeń, ciągłej styczności z nią. Słowem, przedsiębiorstwo teatru, więcej jak inne, wymaga ciągłej łączności między sobą, a publicznością, w interesie tak sceny, jak publiczności, gdyż jedynie ta łączność rozciekawia, zajmuje, przywiązuje publiczność do teatru i ostatecznie sprowadza ją do sali, systematycznie licznie, bez przerwy, a to właśnie jest głównym celem, nietylko dla dobra teatru, lub przedsiębiorstwa, ale także dla dobra sztuki w wyższem nawet znaczeniu. Usługę zaś tę może oddać jedynie tak nazwana *reklama*. Nie wypieramy się więc jej wcale, przeciwnie szczycimy się, iż przyznano nam, że umiemy nią władać, a przekonani jesteśmy, że nietylko my; ale kazdy dziennik sprzyjający scenie ojczystej, a nie powodujący się osobistemi względami, nie powinien odmawiać tej pomocy teatrowi. Teatr bowiem bez reklamy, to sklep bez wystawy. Mogą być w niem rzeczy pierwszorzędnej wartości, ale mało kto do niego wejdzie. Z drugiej strony głupcy tylko, lub ludzie nie znający się na rzeczy, przypuszczać mogą, iżby teatr, lub pojedynczy artyści, długo cieszyć się mogli powodzeniem lub sławą, jedynie za pomocą reklamy, choćby najzręczniejszej a bez rzeczywistej wartości. Głupcy tylko, twierdzić mogą, żeby artyści dramatyczni i instytutycya taka, jak teatr, która równie jak pierwsi z natury swej, znajduje się pod ciągłą kontrolą tego zbiorowego sędziego, którego ani przekupić, ani ugłaskać nie można, sędziego zawsze równie surowego, a zmieniającego się w swoich częściach składowych, który się zwie *publiczność*, aby: powtarzamy, artyści dramatyczni i teatr mogli: się cieszyć ciągłemi powodzeniami, wzróść w znaczenie, zdobyć sobie sławę, wzmocnić a nawet zapewnić sobie byt, jedynie w skutku i za pomocą reklamy! Niedorzeczność bijąca w oczy *absurdum* i bezsens, który sam się zbija i kryje w sobie, albo kretynizm, albo niedołężną zawiść. Nie! bez wewnętrznej wartości teatru, bez prawdziwego talentu artystów, bez pracy aktorów i Dyrekcyi, nie pomoże najzręczniejsza reklama i najdalej w trzy miesiące srodze musi się obrócić przeciw tym, których ratować, lub nad wartość wynosić chciała. Reklama więc jest dla teatru użyteczną i konieczną, lecz dla nikogo nie jest ani szkodliwą ani zwodniczą, bo nawet nadużyta, nie przeistoczy mierności w geniusz, szopki w pra-

LORENZACCIO.

Ciąg dalszy.

Wchodzi Piotr z Tomaszem i Franciszkiem Strozzi.

PIOTR. Wszystko już skończone, Salviatti nie żyje. (*Ściska swoją Siostrę*).

LUDWIKA. Przerażasz mnie, tyś cały krwią zbroczony.

PIOTR. Czekaliśmy na niego na zakręcie ulicy Arebez. Franciszek zatrzymał mu konia, Tomasz uderzył go w nogę, a ja....

LUDWIKA. Zamilknij, proszę cię, aż drżę [...]ła. Oczy twoje wychodzą z oprawy, ręce [...]ydnie skrwawione, ciało całe drży, sam [...]teś bład zym od śmierci.

[L]ORENZO (*podnosząc się*) Jesteś pięknym [...]lkim, jak zemsta sama.

[PIO]TR Co to ma znaczyć, zkądże wziął [...] tutaj Lorenzo. (*Zbliża sie do ojca*). [...]zamkniesz drzwi ojcze przed tym nę[...]i[...] czy nie wiesz, kto on jest i jak [...]tę[...] już nie wspominaj o tej ostatniej [...]tory[...] pojedynku z Sire Maurycem.

FILI[P] [...]wszem, wiem o tem wszystk em i [...]eli L[orenz]o jest tutaj, to wierz mi, że mam [...]s ne [...] przyjmować go u siebie. Po[...]wimy [...] szczerze kiedyindziej.

PIOTR. (*ściskając zęby*). Hm! słuszne powody, by przyjmować tego łotra Znalazłbym jeden z dzisiejszego poranków, wystarczający najzupełniej by go przez okno wyrzucić. Mów sobie, co chcesz, ale ja zaledwie panuję nad sobą, gdy patrzę, jak ten nędznik godzinami rozsiada się po naszych fotelach.

FILIP. Idź spokojnie do siebie, jesteś szaleńcem i dałby Bóg, żeby ten czyn dzisiejszy nie pociągnął za sobą smutnych skutków. Przedewszystkiem musimy cię gdzie ukryć.

PIOTR. Ukryć mnie, dlaczego miałbym się ukrywać?

LORENZO. (*do Tomasza*). Gdyś go więc uderzył w łopatkę? Opowiedz mi wszystko, jak to było. (*Pociąga go za sobą w zagłębienie okna i obydwaj rozmawiają po cichu*).

PIOTR Nie mój ojcze, ja się nie będę ukrywał. Zniewaga była publiczną, wypowiedział ją w obec wszystkich na placu, ja pomściłem się za nią, i jutro głośno wypowiem jak płacą takie obelgi. Odkądżeto mamy się kryć za to, żeśmy pomścili nasz honor. Chętnie przechadzałbym się wśród wszystkich z mieczem w dłoni, nieścierając nawet śladów krwi jego.

FILIP. Chodź tędy, chcę z tobą pomówić, czy nie jesteś czasem ranionym moje dziecię, nic cię złego nie spotkało w tem zajściu.

Wychodzą.

SCENA VI.

W pałacu księcia.

Książę na wpół nagi, Tebaldeo robi portret, Giomo gra na gitarze.

GIOMO. (*śpiewa*).

Kiedy ja muszę wierny mój giermku,
Zanieść to serce mej ukochanej,
Niechaj odeszlę do stu szatanów
Mszę popów i mary pogrzebne.
Łzy czemże są innem, jak czystą wodą,
Powiedz jej, niech darmo nie leje,
Lecz niech zanucą chór nad trumną moją,
Ja nie odpowiem z głębi grobowca.

KSIĄŻĘ. Przypominam sobie, że miałem cię o coś zapytać, ale powiedzno mi Węgrze, co ci zrobił ten chłopiec, żeś go bił z taką zaciętością.

GIOMO. Dalibóg, nie pamiętam i zdaje mi się, że i on sam nie mógłby odpowiedzieć na to.

KSIĄŻĘ. Jakto, czyżby już zmarł?

GIOMO. To ulicznik z sąsiedniego domu, gdym przechodził, zdaje mi się, żo go wyprowadzano.

KSIĄŻĘ. Już to trzeba przyznać, że gdy mój Giomo uderza, raz zawsze bywa trafny.

GIOMO. Żartujesz pan ze mnie. Przecież sam nieraz widziałem, jak W. K. Mość za jednym uderzeniem kładł trupem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wdziwą scenę i nie oszuka nikogo w ocenieniu rzeczy wystawionej ciągle na widownię publiczną i zostającej pod ciągłą kontrolą ogółu, pod kontrolą tak dobrze tłumów, jak najwykwintniejszych znawców. Reklama nic nie pomoże lichym aktorom, lecz najznakomitsi artyści, bez reklamy także nic nie zdziałają, nie dadzą się poznać, nie ściągną tłumów, a więc nie zelektryzują ich i wywrą na nich uroku i przejdą niepostrzeżeni i bezużyteczni, nie zrobiwszy nic ani dla siebie, ani dla sztuki. Darmo! Leży to w naturze ludzkiej i w układzie naszych społeczeństw; zapoznanie tej prawdy przy przedsiębiorstwie teatralnem byłoby nietylko błędem, ale największą niedorzecznością i grzechem przeciw sztuce. Inne pytanie jaką ma być reklama? I zaistenie każdy umie nią władać, nie każdy, kto chce, umie być reklamistą. Zadanie to nawet nie łatwe, wymagające pewnej wprawy, dobrego smaku, taktu, a miary przedewszystkiem; jeden będzie reklamował lekko i zręcznie, drugi nudno i ciężko; jeden prześliznie się przez reklamę, drugi tańczyć będzie nad nią, jak niedźwiedź! I do tego talent potrzebny, a pojmujemy, iż kto go nie posiada, ten wścieka się ze złości na tego, którego bezowocnie chciałby naśladować. Tę tylko ogólną radę dać możemy, iż największym właśnie błędem jest zużywanie reklamy gwałtownem popieraniem sceny lub artystów bez rzeczywistej wartości lub talentu, dyskredytuje to najzgubniej środek sam przez się użyteczny i potrzebny, nikomu nie przynosi ostatecznie korzyści, okrywa śmiesznością i pozbawia skutków reklamy na dłuższy czas tych, którzy na nią zasługują. Tak jest, trzeba wiedzieć i umieć rozróżnić, co i kto wart jest reklamy, kto nie posiada tego zmysłu, nikomu nic nie poradzi, wszystkim zaszkodzi, i jakby na tysiączny dowód, że o ile reklama w rzeczach teatralnych jest potrzebną, o tyle jest bezużyteczną, skoro staje się kłamliwą lub niedorzeczną, nie ściągnie publiczności.

Inna tu jeszcze zachodzi kwestya, o której raz chcemy na tem miejscu słowo powiedzieć. Mamy ne myśli stopień, ton, diapazon reklamy. Chcąc oddać teatrowi usługi, nie szkodząc, ani obrażając sztuki, estetyki i dobrego smaku, trzeba umieć w reklamie zachować miarę i stopniowanie, stopniowanie przedewszystkiem, trzeba słowem posiadać i praktykować delikatną umiejętność cieni i odcieni; inaczej bowiem reklama artystyczna staje się kramarczą lub nawet karczemną i zaciera po części pojęcia—piękna. Niestety u nas, od dawna nietylko nie umieją zachować pod tym względem miary, ale nawet stracono jej poczucie. Nauka stopniowania także mało znana naszej krytyce, ztąd reklama teatralna, podobna do owych krzykaczy zachęcających publiczność do wejścia do budy i dopomagających sobie bębnem i katarynką. Mierności i miernostki, chwalone są i stawiane na równi z rzeczywistemi talentami; talenta rzeczywiste podnoszone do wysokości geniuszów i pierwszych w Europie potęg artystycznych. Nikt nie zastanawia się nad tem, że wszystko na świecie jest względnem i że to, co jest dobrem u nas a nawet bezwzględnie, za Oświecimem lub Maczkami spotka się z czemś wyższem, z którem porównanie musi mu tylko szkodzić i ubliżać. Nietylko w teatrze, ale w ogóle w dziedzinie sztuki, przechwalamy bez miary i bez sądu naszych pracowników, dużymy ich i siebie, aż tu przy pierwszem zetknięciu się z zagranicznemi siłami na tem samem polu, narażamy się na rozczarowanie i upokorzenie. Przypuścićby można, że takie bezmierne i bezrozumne pochwały, których u nas nie szczędzą tak zwanym *naszym* niezrównanym artystom, jest rodzajem *haczyszu*, który z umysłu zażywamy, aby się odużać wśród naszej biedy i naszych kłopotów. Tylko że tu obudzenie jest nierownie przykrzejsze, jak dla Turka, a tym samym *haczyszem*, którym się upajamy, zatruwamy nieraz w zaródku rzeczywiste talenta. Dość że u nas reklama mianowicie teatralna, od bardzo dawnych czasów nastrojona jest w ton tak wysoki i krzykliwy, diapazon jej jest tak nieludzki, że słychać tylko w tej dziedzinie jakiś hałas, jakąś dziką mięszaninę tonów, bez harmonii i dźwięków rzeczywistych. Cóż czynić ma wśród tej kociej muzyki nieszczęśliwy śmiertelnik, niepozbawiony całkiem zdrowego rozsądku i smaku? a zmuszony pisać o teatrze i obracać się w świecie, tak nazwanym teatralnym? Albo położenie jego będzie podobnem do trzeźwego wśród pijanych, albo upije się z innemi i wrzeszczeć będzie. Cóż dopiero pocznie, jeżeli zadaniem jego jest praktycznie wspierać teatr, wskazywać prawdziwe talenta, jednem słowem trudnić się reklamą teatralną? Oto rad nie rad będzie musiał nastroić się na ten sam diapazon, a nawet czasem go przewyższać, będzie musiał śpiewać na ten sam wysoki ton, a nawet wyżej, już dla prostej przyczyny, aby go usłyszano, a doprawdy często wbrew własnej skłonności i pojęciu o rzeczy! I w samej rzeczy, jakże chcąc być praktycznym, podobna czynić inaczej? Jak tu nie używać superlatywów, skoro inne skromniejsze, a odpowiedniejsze wyrażenia nie robią już wrażenia, a nawet uważane są za ujmę, jeżeli nie za obrazę!? Jakże tu podnieść w prostych wyrazach prawdziwy talent, skoro dla ocenienia mierności, używane są codziennie najszumniejsze epiteta i superlatywy!? Chcąc pozostać praktycznym — niepodobna, trzeba brnąć w błocie banalności i przesad, dla dobra teatru i przez uczucie sprawiedliwości, dla tych artystów prawdziwie utalentowanych, dla których skromniejsza, a odpowiedniejsza pochwała w dzisiejszem położeniu rzeczy, stałaby się niewątpliwie krzywdą. Ztąd nieraz, kto zmuszony jest pracować u nas dla teatru, nie może się zawsze i wszędzie uchronić od pewnych przesad w wyrażeniach, któremi się sam brzydzi, lecz które porównane z innemi, nie szczędzonemi miernościom, przestają być przesadami. Ten przymus podniesionego tonu w rzeczach teatralnych, konieczny dzisiaj, a tak śmieszny, jest jedną z bardzo przykrych stron zawodu, a temu położyć może koniec, jedynie krytyka artystyczna w prawdziwem tego słowa znaczeniu, krytyka kompetentna, bezstronna, i obdarzona dobrym smakiem.

Co do nas usiłowaliśmy unikać owego podniesionego tonu, lecz przyznajemy najzupełniej, że z musu, z konieczności, nieraz nierównie głośniej krzyczeliśmy, jakbyśmy sobie tego życzyli, i jak to odpowiadało naszemu usposobieniu, a jedynie, aby nas usłyszano wśród kociej muzyki. Względy utylitarne i praktyczne nakazywały nam zadawać sobie ten gwałt, lecz nigdy nie straciliśmy poczucia jedynie właściwego tonu w tych rzeczach. Ten zaś, którego często używamy, jest tylko względnym do ogólnego hałasu, nie zaś bezwzględnie naszym tonem.

Na szczęście, teatr nasz, pozwala nam go obecnie zniżyć, pozwala nam nie krzyczeć, ale przyzwoicie odzywać się. Zdobył on sobie bowiem już stanowisko, wartość jego jest rzeczywistą, sława rozgłośną, uznanie dla niego powszechne, tak, że pomimo dzikiego hałasu na około, głos jego da się już wszędzie słyszeć, bez pomocy tuby i każdy chętnie wejdzie do niego, chociaż u bramy nie będzie ani krzykacza, ani bębna; ani katarynki. Cywilizowana rozumna reklama, donosząca o jego czynnościach wystarczy. Tej podejmujemy się i nadal. Z drugiej strony pierwszorzędni nasi artyści, nie są już dzisiejszemi, znani są na wszystkich scenach polskich; występy gościnne utrwaliły ich zasłużoną sławę; wzrost teatru krakowskiego, jego postępy, jego repertoar i role, które pierwsi na scenie stworzyli, dzieła, w których występują, znakomite utwory oryginalne i obce, które oni wprowadzili i utrzymali na scenie polskiej, uznanie poważnej krytyki, nieustająca łaska publiczności, są dla nich lepszą, trwalszą i godniejszą reklamą, jak ta, na którą zdobyćbyśmy się mogli, I oni także nie potrzebują ani bębna, ani kataryki, dość dla nich, że są podporą teatru, który bierze inicyatywę i daje popęd teatrom w Polsce, i za którego przykładem idą one pod wielu względami, nie zawsze chętnie to przyznając. Dość dla nas zapisywać ich prace i powodzenia. Inną stroną naszego zadania była polemika. W pierwszym roku słusznie może zarzucono nam, zbytnią w niej gwałtowność. Unikaliśmy jej starannie w następnym. Obecnie i pod tym względem zadanie nasze nader jest uproszczone. Polemiki nie zrzekamy się bynajmniej, już dla tego samego, iż nieraz rzuci ona może światło na sztukę, której przedewszystkiem hołdujemy. Lecz oparci na doświadczeniu, umiemy rozróżnić, z kim i z czem warto polemizować. Tu dzielimy przedewszystkiem krytykę na dwa działy, na krytykę dobrej wiary i krytykę złej wiary, na uczciwą i nieuczciwą. Pierwsza rozpada się na krytykę uprawnioną, czyli znającą się na przedmiocie i na krytykę nie kompetentną w przedmiocie. Z pierwszym działem, nawet z obydwoma jego odcieniami, jesteśmy zawsze gotowi polemizować. Krytyka kompetentna może się czasem mylić, lub możemy się z nią niezgadzać; wtedy potrzebną jest z naszej strony odpowiedź; gdy zaś przemówi do naszego przekonania, wdzięczni jej będziemy i albo przyjmiemy milcząco jej radę i uwagi, albo nawet podniesiemy je, aby zwrócić uwagę artystów. Z krytyką nieznającą się na przedmiocie, dostatecznem będzie dla nas wykazać jej niekompetentność. Drugi dział krytyki złej wiary i nieuczciwej, rozpada się na niezliczono odcienia, począwszy od zawistnej i zazdrosnej, niechętnej i złej z upodobania, jak Jagon, paszkwilowej ze szubrastwa, stronniczej z miłostek zakulisowych, lub zawiedzionej miłości własnej autorskiej, aż do tej, którą Francuzi nazywają *chantage*, a która i u nas zaczyna się ukazywać. Tę krytykę i wszystkie jej odcienia — a mamy już dość wprawne oko, aby ją odróżnić od uczciwej i bezinteresownej—pomijaliśmy, a nadal jeszcze staranniej pomijać będziemy, nie pogardliwem nawet, lecz po prostu uporczywem milczeniem.

Mając w ten sposób uproszczone zadanie pod względem reklamy i polemiki, tuszymy sobie, iż będziemy mieli więcej czasu i miejsca, aby poświęcić się samej sztuce, umieszczając artykuły objektywne i natury wyłącznie artystycznej.

— W sobotę po raz drugi **ZYZIO**.

— Panna Henryka Bendówna, artystka teatru krakowskiego, zaślubiła we wtorek p. Bolesława Ładnowskiego, artystę teatru lwowskiego. Młoda para odjechała wieczór po ślubie do Lwowa. Panna Bendówna opuszcza scenę krakowską, nie wiemy zaś, czy opuszcza scenę wogóle.

— W pierwszej połowie zeszłego miesiąca pana Wilhelmina Bauman, artystka teatru krakowskiego, zaślubiła p. Stanuchowskiego urzędnika banku galicyjskiego. Pani Bauman pozostaje na tutejszej scenie.

— Z tegorocznego doświadczenia, o ile wiemy, Dyrekcya powzięła przekonanie, że najkorzystniej jest zaprowadzić prze[illegible] w przedstawieniach teatralnych w sie[illegible] a rozpoczynać nowy kurs z 1 września.

— Pan Sabowski dokończył już tłumaczenie *Medey* Gripalcera, która wystawioną będzie w tym roku na tutejszej scenie.

Redaktor odpowiedzialny *Anastazy Mastalski*. W drukarni L. Paszkowskiego w Krakowie. Rządca Drukarni *Józef Łakociński*.